

Paweł Pieńkowski

Baśnie
i podania
świnoujskie



zilustrował Marcin Minor

Paweł Pieńkowski

Baśnie i podania świnoujskie

© by Paweł Pieńkowski

© by Wydawnictwo Literatura

Posłowie: dr hab. Urszula Chęcińska,
Uniwersytet Szczeciński



Książka ukazała się
dzięki finansowemu wsparciu
Gminy Miasto Świnoujście

Okładka i ilustracje:

Marcin Minor

Korekta:

Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I, Łódź 2022

ISBN 978-83-8208-142-8

Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl

Od autora

Urodziłem się w miejscowości wypoczynkowej... i to zdeterminowało moje dalsze życie. A co gorsza była to niedziela. I mógłbym nigdy nie chwycić za pióro i w rozkosznej beczynności kontemplować na kocyku szum fal i uroki szerokiej plaży, jednak ciekawość świata wyobraźni dawnych mieszkańców grodu nad Świną, jak również nadarzająca się sposobność powrotu do krainy dzieciństwa, zwabiły mnie ponownie na brzeg „Piaszczystej Wyspy”¹ i łagodną perswazją przymusiły do pracy. Tu chylę czoło przed dziełem dziewiętnastowiecznych zbieraczy podań i baśni, bez których nie powstałby niniejszy zbiór, jednak jako „niedzielne dziecko” otrzymałem przywilej dostrzegania elfów i wglądu w feeryczne sprawy rodzinnego miasta mniej ortodoksyjnie niż szacowne grono uczonych i skrupulatnych poprzedników. A skoro przywilej ten poświadcza nawet encyklopedia S. Orgelbranda², skorzystałem więc z niego w pełni, oddając w ręce Czytelnika baśniowy obraz nadbałtyckiego miasta, złożony z puzzli dawnych przekazów, po części zaś z fragmentów inspirowanych pamięcią pierwszej dekady życia, którą dane mi było przeżyć na tym niewielkim skrawku wyspy, owianej siłami twórczej fantazji wielu pokoleń jej mieszkańców.

Dwa dzwony³

Od lat mglista wizja podwodnych dzwonów poruszała serca poetów i uskrzydlała nawet najmniej romantyczne dusze. Zapadłe w wodę dzwonnice i zatopione miasta napędzały wyobraźnię wielu, a głuche dźwięki nocnych dzwonów, dochodzące gdzieś z ciemnej i głębokiej toni, wyprowadziły z niejednej fortepianowej klawiatury mistrzowski nokturn i balladę.

Gwałtowna potrzeba duchowych uniesień nie ominęła też mieszkańców Świnoujścia. Ci od lat błakali się po porcie, myszkowali po straganach z rybami, zaglądali do koszar, lecz nie znajdując tam stosownej weny, wędli w twórczym marazmie. Nic to, że po mieście krążyli poeci z szalami do ziemi, że rodzime malarki w kapeluszach o rondach wielkich jak koła ratunkowe moczyły pędzle w tęczowych farbach, że w salonach co znamienitszych domów raz po raz strojono kosztowne harfy i fortepiany. Wszystko na marne! Wielka artystyczna pustka wciąż zalewała miasto; jedni winili za to nadto łagodny klimat, inni burzyli się na bezbarwne towarzysstwo, a byli i tacy, co z braku natchnienia szykowali się do skoku z okna.

Miasto gasło więc w twórczym otępieniu, gdy nagle – prędzej niż odgłos gromu – rozeszła się wiadomość, że oto w porcie po drugiej stronie miasta odkryto dwa prastare dzwony. Wyciągnięto je z portowego mułu, z grubsza obmyto i wystawiono tryumfalnie na powszechny widok. I choć w mrokach wieków zagubiły się serca dzwonów, to i bez nich wyglądały one dumnie i okazale.

Wkrótce mieszkańcy zachodniego brzegu Świny wyroili się tłumnie z domów i zaczęli przeprowadzać na drugą stronę cieśniny. Prom nie nadążał z taką masą ludzi, ruszyły więc na wodę wszystkie łodzie, barki i tratwy. Tak wielkie poruszenie nastąpiło w całym mieście, że ludzie śpiewali w uniesieniu serenady, w kościołach grały organy, a po zmroku puszczono kolorowe race, oświetlając jasną łuną wypełnione tłumem brzegi. W całym mieście nastał istic wenecki karnawał. Tańczono po ulicach, rozbłyły w dłoniach przechodniów świetliste pochodnie, nie wiedzieć skąd i kiedy przybyli linoskoczkowie i połykacze ognia. A wszystko to za sprawą wieści, która błyskawicą rozniosła się po mieście.

– To dzwony z Winety! – przekazywano sobie z ust do ust niecodzienną wiadomość. – Żaden z bałtyckich portów nie ma i mieć nie będzie tak legendarnych dzwonów – powtarzano z nieskrywana dumą.

Jakimś cudem pojawienie się owych dzwonów poruszyło w mieście wszystkie artystyczne dusze, które natchnione twórczym zapalem pośpieszyły przez lasy i wydmowe pagórki w stronę morza i nasyciwszy się tam potęgą rodzimej natury, chwyciły za pędzle, pióra i dłuta. Jak grzyby po deszczu przy ulicach wyrosły galerie sztuki, w urzędach deklamowano wiersze, nawet komendę tutejszego garnizonu uniósł wicher śpiewnego entuzjazmu. Nie tylko na Uznamie, ale i na sąsiednich wyspach cieszą się z tak baśniowego znaleziska: zerkano nawet w stronę morza, czy aby z morskiej kipieli nie wyłonią się dumne bramy zatopionego ongiś grodu.

I zdawać by się mogło, że nic nie zagrozi tym dniom uniesienia i rozbudzonej fantazji, a jednak pewnego deszczowego ranka do Świnoujścia zajechała grupka uczonych i niczym ponura wyrocznia pochyliła się nad dzwonami. Przybyli z uniwersyteckich miast profesorowie, obejrżeli je z góry i od spodu, przyłożyli do nich szkiełko, oblali kwasem i zasadą, stuknęli młotkiem, po czym odczytawszy odlane w brązie łacińskie sentencje, wydali werdykt:

– Dzwony nie są legendarne... lecz muzealne!

„Należy je przewieźć do muzeum w stolicy prowincji” – dopisano czerwonym atramentem na końcu pisma sporządzonego ku wiadomości cesarza i jego ministrów.

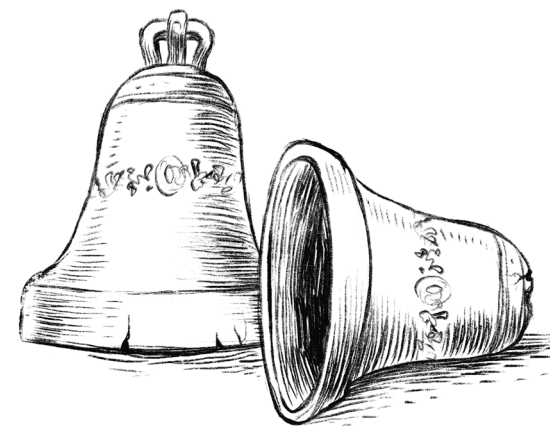
Chcąc nie chcąc, miasto musiało poddać się nakazom władzy wyższej; dzwony załadowano na barkę, ta zaś odpłynęła w stronę stolicy.

Ciche łzy sączyły się z oczu wielu, spadały w wodę pożegnalne wieńce i kwiaty, z bólem serca recytowano niedokończone poematy.

I można by sądzić, że miastu znów grozi twórcza pustka, lecz oto ktoś w portowym mule wypatrzył bystrym okiem dwa serca dzwonów.

– To serca dzwonów z Winety! – zakrzyknięto jednogłośnie i pozostawwszy je na miejscu, znów chwycono za pióra i pędzle.

Szybko skończono wiersze, pieśni i obrazy, zaczęto z werwą tworzyć nowe dzieła, bo oto – jak napisał miejscowy poeta – wicher raz rozbudzonej fantazji rozpiął nad miastem twórcze żagle i powiodł je ku nowym brzegom.



Czarna Pani z Golmu⁴

Nad rozległą dolinę łąk i mokradeł, przeciętych tu i ówdzie błyskającymi w słońcu wstążkami rowów, wyrasta w górę tajemne wzgórze Golm⁵. Za dnia miło jest wejść na jego szczyt i spojrzeć w stronę pobliskiego miasta. Otwiera się stamtąd sielska panorama na tonący w pastelowych błękitach port u ujścia Świny. Zachwycano się tym widokiem przez wieki.

– Ach, jaki ładny wybieg dla oka – mówiły przed laty uduchowione kuracjuszki i wyciągając z toreb operowe lornetki, tropiły zarysy strzelistych wież świnoujskich kościołów.

– To widok godny naszego pędzla – wdychały co bardziej artystyczne dusze i ustawiały sztalugi na szczycie wzgórza, chcąc uwiecznić łagodny pejzaż portu i majestat wypływających w morze żaglowców.

Chwalono też tamtejszy klimat i powietrze „tchu najczystsze”, wszak wzgórze owiane raz morską bryzą, raz podmuchami wiatru z pobliskiego zalewu, nie miało sobie równych jak wyspa Uznam długa i szeroka. Nic dziwnego, że od wieków wdrapywano się na szczyt Golmu: a to piechotą, a to pojazdem, a w leniwe, parne dni na najętych od kupców osiołkach.

To prawda, że za dnia, gdy słońce przeświecało przez korony strzelistych buków, wzgórze wydawało się przyjazne i pełne uroku, lecz wieczorem, gdy ostatni promyk skrył się za wzniesieniem, rzucało posępny cień na pograżającą się w mroku okolicę. Nawet w pełni lata fale zimnego chłodu

rozlewały się wówczas niczym mgła po okolicznych łąkach i mokradłach, a złowrogi pomruk dobywał się z mrocznej czeluści.

– Pora się już zbierać – przypominano sobie wzajemnie, zerkając z niepokojem na purpurową tarczę słońca, która nikła z westchnieniem dnia tuż za ciemnym grzbietem wzgórza.

Pustoszała wtedy cała okolica. Dorośli pędem składali koce i sztalugi, pakowali piknikowe kosze, a dzieci w pośpiechu zbierały zabawki i nie oglądając się za siebie, wracały na rowerkach do miasta.

– Szybciej, szybciej! – poganiały się wzajemnie, dzwoniąc raz po raz rowerkowymi dzwoneczkami dla dodania sobie odwagi.

Pędziły przy tym tak szybko, że bez trudu wyprzedzały biegnące na oślep osiołki, strwożonych jeźdźców i klekoczące po bruku powozy. I już o zmierzchu nie spotkałbyś na wzgórzu nikogo, kto z własnej i nieprzymuszonej woli chciałby być świadkiem dziejących się tam strachów i dziwów.

Oto opustoszałe z nagła ścieżki zaczynały się więc powolnym wężowym ruchem, drzewa naginać ku sobie, a śródleśne dolinki zapadać w głąb wzgórza, wydając głuche i żałosne jęki. Biada temu, kto zagubiłby się tam nocą. I można by sądzić, że w jasne księżycowe noce łatwiej było przemierzać bukowy las, lecz nic bardziej mylnego!

Właśnie przy pełni księżyca, w srebrnej poświacie miesiąca na szczycie góry otwierała się ziejąca chłodem grotą, a wokół niej wprost spod ziemi wyrastało smutne królestwo Czarnej Pani. Przy grocie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znikał bukowy las, a na stoku wzgórza zjawiał się ponury ogród: najposępniejszy z posępnych. Rosły w nim tylko smutne drzewa i kwiaty. Nic dziwnego, że nie przysiadały tam słowiki i nikt nie słyszał ich nocnych treli. Nawet polujące nocą sowy płoszyły się na widok ogrodu i umykały w stronę pobliskich łąk swym cichym i bezszelestnym lotem. Tuż przy grocie wszystkie zioła miały tylko czarne liście, a kwiaty tylko czarne płatki. Nie pachniały przy tym wcale, a jeśli już – to słoną ziemią, z której wyrosły.

W tym ogrodzie, którego nigdy nie zraszały krople słodkiego deszczu i nie poika źródłana woda, rosły zaprawdę posępne rośliny. W świetle

księżycy zakwitały raniące serca ciernie i osty, z kamieni zwisały zmijowate paprocie, a przy ziemi podstępne rosiczki czatowały na zagubione w oparach mgieł świetliki. Nawet czarny bez, w którego konarach zwykły mieszkać przyjazne ludziom wróżki, nigdy nie zakwitał, a jego suche gałęzie niczym szron kryły siwe kryształki soli.

Skąd słona ziemia wokół i skąd ten szron na liściach? – spytacie. Pora wyjawić sekret: w ogrodzie wszystkie drzewa i krzewy, wszystkie kwiaty i drobne źdźbła traw podlewano najprawdziwszymi słonymi łzami.

W blasku pełni księżycy długobrody sługa Czarnej Pani przemierzał pobliskie łądy, odwiedzał spalone wioski i zniszczone sztormem porty, by tuż przed świtaniem, gdy płaszcz gęstej mgły unosił się nad wodą, powrócić na wyspę z ładunkiem srebrnych konwi pełnych słonych i czystych jak kryształ łez. Gdy dopływał do brzegu hebanową łodzią, wychodziła mu naprzeciw jego pani. Otwierała każde z naczyń i sprawdzała, czy są aby pełne i czy łyż są należycie słone. Sługa był wierny i pracowity, naczynia były więc wypełnione po brzegi, a łyż słone niczym wody martwych mórz i jezior.

Przez kolejne noce Czarna Pani sama dźwigała ciężkie konwie, chodziła od drzewa do drzewa, od kwiatu do kwiatu, i skrapiając łzami wyschniętą ziemię, wypatrywała wybawienia. Lecz na nic były jej starania. Żaden z jej kwiatów nie zakwitł radosnym kolorem i nie zapachniał ożywczą wonią. Tuż przed świtaniem strudzona Czarna Pani wracała śpiesznie do groty, by zatrzaskać na dwanaście zamków swą skalną czeluść i zliczać kolejne dni w lodowym chłódzie serca.

Mówiono między ludem, że to nienasycona chciwość, jak studnia bezdenna, wciągnęła ją wprost do wnętrza groty, gdzie tylko kufry złotych monet i martwa ciemność dotrzymywały jej towarzystwa. A ciężar jej przewin musiał być przeogromny, skoro już z górą od tysiąca lat uwięzła w wilgotnej grocie i nikt dotąd nie wybawił jej od ciężającej nad nią klątwy.

Ponoć tylko w noc świętojańską mogło nadejść wybawienie. Toteż gdy tylko zbliżała się ta najkrótsza z nocy, Czarna Pani opuściwszy skalną

kryjówkę, błąkała się po wijących się – to w dół, to w górę – drózkach Golmu. Noc była jednak krótka, a żywego ducha ze świecą szukać. Trudno się temu dziwić, skoro każdy, kto stanął przed jej mrocznym obliczem i spojrzął w jej gadzie oczy, drżał z przelęknienia. Powiadano, że na widok Czarnej Pani nawet waleczne psy, skowycząc, uciekały z trwogi, a pstre dudki gubiły w locie swe barwne piórka. Po cóż więc było śmiertelnikom błąkać się w noc świętojańską po ciemnym wzgórzu, skoro nieopodał, na pachnących sianem łąkach, rozpalano ogniska, tańczono radośnie, a po rzece i morzu puszczano wianki z wesoło migoczącymi ognikami?

Zdarzało się jednak, że ktoś przypadkiem, a to wiedziony niefrasobliwością, a to może zwykłą niewiedzą, stawiał po zmroku stopę na ścieżce wiodącej w górę wzgórza. Takich pechowców było niewielu, a o ich nocnych spotkaniach z Czarną Panią przez lata rozprawiano drżącym głosem na tarasach domów zdrojowych, w oparach portowych tawern i na szkolnych korytarzach. Toteż już wczesnym wieczorem nie spotkałbyś w pobliżu wzgórza nawet jednego nieposłusznego dziecka.

Tak było przez wieki, aż do pewnej świętojańskiej nocy, gdy na łące usłanej kobiercem kwiatów zjawili się chłopiec i dziewczynka. Co niezwykłe, oboje mieli właśnie urodziny, więc nie zważając na porządek powszednich dni, zapragnęli jak najdłużej cieszyć się urokiem świątecznego wieczora.

– Dziś nie musimy tak wcześnie iść spać – stwierdził chłopiec.

– O tak! – przytaknęła dziewczynka. – W urodziny możemy sobie na to pozwolić. Tym bardziej, że wieczór taki piękny – westchnęła, spoglądając z zachwytem na chylące się ku ziemi słońko.

Bo cóż miłszego nad chwilę tuż przed zmrokiem, gdy w górze śmigają jaskółki, a w dole szumią wilgotne łąny traw i kwiatów, nie zaznawszy jeszcze spiekoty nadchodzącego lata. W ten urodzinowy wieczór ptaki śpiewały dzieciom *Sto lat!*, a kwiaty układały się w bukiety godne cesarskich wazonów. Jak łatwo można było wówczas zapomnieć o przestrodach i niebacznie postawić stopę na ścieżce w stronę Golmu!